

Krzysztof M. Maj  
**Powrót do przeszłości\***

Film *Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć* miał przed sobą wiele wyzwań. Po pierwsze, musiał udowodnić, że zła passa Davida Yatesa z ostatnich części *Harry'ego Pottera* przeminęła, a sam reżyser wyciągnie wnioski z konsekwencji niefortunnnych decyzji castingowych, nieuzasadnionych zmian filmowych lokacji czy rugowania materiału źródłowego z najlepszych partii na rzecz wypełniania jego adaptacji bliżej nieodgadnionymi fantazjami scenarzystów. Po drugie, tuż przed nim zarówno fanów, jak i krytyków rozczarowały filmy, których sukces wydawał się niekwestionowany, poczynając od *Przebudzenia mocy* aż po *Świt sprawiedliwości* i *The Killing Joke*, których finalne realizacje najdelikatniej rzecz ujmując nie sprostały wysokim oczekiwaniom odbiorców. Powrót do świata *Harry'ego Pottera*, zapowiadany *explicite* już w teaserach filmu („In 2016 writer J. K. Rowling invites you to return to the Wizarding World”), mógł spotkać podobny los, zwłaszcza, że nic nie zapowiadało w gruncie rzeczy, by dość prekursorski projekt ekranizacji książki, która nawet nie była oryginalnie planowana jako powieść, odniósł sukces porównywalny z ukazującymi się w latach 2001-2011 adaptacjami. Jak to dobrze, że stało się całkowicie inaczej.

Jako niemal bezkrytyczny fan sagi książkowej i – mimo wszystkich ich wad – miłośnik wszelkich jej adaptacji, mogę stwierdzić z całą stanowczością, że podczas seansu *Fantastycznych zwierząt* bawiłem się znakomicie. I to w pełnym znaczeniu tego słowa: wolny bowiem od stentorowych tonów ostatnich części cyklu, film najzwyczajniej w świecie dostarcza znakomitej rozrywki, doskonale balansując liczne (i niezmiernie udane) momenty komiczne ze starannie rozbudowywanym światotwórstwem i wysmakowanymi aluzjami do Potterowskiej encyklopedii (potocznie określanej jako *lore*). Jest

\*Recenzja filmu: *Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć* [*Fantastic Beasts and Where to Find Them*], reż. David Yates, Warner Bros.

to o tyle zdumiewające, że lekkiego tonu narracji bynajmniej nie zapowiadał radykalny zwrot w profilu wiekowym głównych bohaterów – w miejsce bowiem dojrzewających nastolatków otrzymujemy postaci dorosłe, zniuansowane charakterologicznie i o wiele bardziej doświadczone także pod tym najważniejszym względem, czyli biegłości w magii. Widok Eddiego Redmayne’a, odtwórcy roli Newta Scamandera, i wcielającego się w jego antagonistę znakomitego Colina Farella, teleportujących się w sposób tak nonszalancy, jakby chodziło o chodzenie po schodach – wynagradza w trójnasób dysonans poznawczy, jaki wywoływało miotanie przez nastolatków wysoce skomplikowanych zaklęć niewerbalnych tuż po tym, jak rok wcześniej scenarzyści cierpliwie jeszcze tłumaczyli za Rowling, że sztuki tej uczy się latami. Bardzo możliwe, że takiej i innych niespójności światotwórczych *Fantastyczne zwierzęta* uniknęły dzięki fenomenalnej decyzji o zleceniu napisania scenariusza samej Rowling – która szansy nie zmarnowała i przeniosła fanów uniwersum właśnie tam, gdzie chcieli się oni najbardziej znaleźć. A mianowicie do lat dwudziestych XX stulecia, przed czasami wielkiego kryzysu, dwóch wojen światowych i, przede wszystkim, niezmiernie obiecującego starcia dwóch wielkich czarodziejów, Albusa Dumbledore’a i Gellerta Grindelwalda.

Wybór tego właśnie okresu przesądził, jak się wydaje, o wyeliminowaniu kolejnej rażącej niespójności oryginału, jaką był konflikt ultranowoczesnej rzeczywistości Mugoli z zatrzymaną w dziewiętnastowiecznej bańce czasowej społecznością czarodziejów, darzących niewytłumaczalnym sentymentem lampy naftowe, średniowieczne budownictwo mieszkaniowe i parowozy. Tutaj w pięknym stylu fantastyczne szaty magów łączą się z krojami garniturów i sukni z lat dwudziestych, a powłóczyste płaszcze agentów federalnych prawie pozwalają nie dostrzec przypasanych do nich różdżek, używanych skądinąd znacznie śmielej aniżeli w Potterowskim ekwiwalencie Wielkiej Brytanii, dzięki – jak się wydaje – dość liberalnemu podejściu do rzucania zaklęć wymazujących pamięć. Rowling jednakże nie zapomina o charakterystycznym dla całej jej twórczości *leitmotiwie* tolerancji tak dla odmienności, jak i mniejszości etnicznych – i porusza tu niełatwy problem dyskryminacji społeczeństwa nie-magów (*No-mages*) przez mniejszą odeń, ale wielokrotnie potężniejszą społeczność czarodziejów. Przyplływający obowiązkowym transatlantykiem do Stanów Zjednoczonych Newt Scamander dziwi się, odkrywając nieznaną w jego ojczyźnie pokładę niemaskowanej niechęci do nie-magów, a także niewyobrażalnie groźne konsekwencje czysto rasistowskiego polowania na czarownice, które zostaje w mistrzowski sposób włączone w mityczną tkaninę rozbudowanego uniwersum *Har-*

ry'ego Pottera. Dość rzec, z prozaicznej chęci uniknięcia nadmiernych spoilerów, że „kwestia magiczna” staje się tu nieraz zarzewiem sporu, popychającego niektórych do rozwiązywania go w ostateczny sposób.

Celowo nie wspominałem o dwóch najbardziej urokliwych elementach *Fantastycznych zwierząt*. Pierwszy z nich zawiera się w tytule – i zarazem zapowiada dość przewidywalną (jednak tutaj na szczęście czysto pretekstową) fabułę, sprowadzającą się do poszukiwania zagubionych niefortunnie fantastycznych zwierząt przez Scamandera. Kto by jednak pomyślał, że i ten element Rowling wykorzysta do przemycenia dyskursu równościowego, tym razem z podwórka *animal studies* – ucząc, że ochrona zwierząt jest etyczną powinnością także wtedy, gdy wyglądają one jak przeciwne naturze monstra lub, jak jeden z wyjątkowo krnąbrnych podopiecznych Newta, bezczelnie wykorzystują każdą sposobność do zwędzenia błyskotek, ze skokiem (susem?) na bank i sklep jubilerski włącznie. Każde ze zwierząt zapada w pamięć, ma przypisane paręnaście minut czasu ekranowego i stwarza okazję do wniknięcia pod dość oszczędną powierzchowność Scamandera, skrywającą pod płaszczykiem obojętności i roztrzepania wrażliwego obrońcę praw zwierząt, niewpadającego jednocześnie w nachalność Hermiony z okresu jej irytującej obsesji na punkcie skrzatów domowych. Rowling uczy się na błędach – i przemysłany scenariusz do *Fantastycznych zwierząt* jest tego najlepszym dowodem, bardzo obiecującym szczególnie po premierze *Przeklętego dziecka*, o której fani (na czele z Waszym pokornym sługą) woleliby raczej zapomnieć.

Drugim ze wzmiankowanych uroków filmu jest – co podkreślają bodaj wszyscy recenzenci, nawet ci wydymający wargi nad domniemanym prostactwem filmu – dobroduszną postać wannabe-piekarza Kowalskiego, rewelacyjnie zagrana przez Dana Foglera. Rzadko mi się zdarza, by śmiać się absolutnie z każdej wstawki humorystycznej w filmie – a jednak dzięki kontrastowi między roztrzepaniem i magiczną potęgą Scamandra a emanującym spokojem, pogodą ducha i cudownym dystansem do rzeczywistości Kowalskim była najlepszą decyzją, która przydarzyła się Davidowi Yatesowi od czasu zmuszenia Ralpa Fiennesa do zostania żywym memem podczas próby zwerbalizowania śmiechu Voldemorta. To wraz z niespodziewaną chemią, jaka wybucha na ekranie między Foglerem a grającą trzpiotowatą Queenie Alison Sudol, sprawia, że w świecie *Harry'ego Pottera* pojawia się wreszcie ściśle ten pogodny humor, który, wydawało się, bezpowrotnie przeminął wraz z odejściem Chrisa Columbusa ze stanowiska reżysera filmowych adaptacji cyklu Rowling. Tym więc, którzy mieli już dość raczej żenującego

i kłopotliwego (w polszczyźnie brakuje dobrego odpowiednika angielskiego *awkward*) humoru, kojarzącego się z serią od czasu wyplucia przez Daniela Radcliffe'a owsianki na widok Cho Chang o twarzy Katie Leung, radośnie oznajmiam – Wasza udręka się skończyła.

Najsłabszym ogniwem filmu, co niestety niepokojące w perspektywie zapowiadanych jego dalszych części, jest główna bohaterka, tworząca wraz z Kowalskim i Scamandrem nową inkarnację tria Pottera, Hermiony i Rona, a mianowicie grana przez Katherine Waterston Tina – której osobowość odznacza się poziomem przeciętności przyznawanym przeze mnie dotąd co najwyżej puszcze po tuńczyku lub łysiejacemu żywopłotowi. Poza nieśmiałymi uśmiechami i równie nieśmiało rozkwitającym uczuciem do postaci granej przez Redmayne'a, Tina nie przedstawia sobą absolutnie nic – choć, na co mam ogromną nadzieję, może być to świadoma decyzja reżysera, wyraźnie aludującego w jednej ze scen do mrocznej przeszłości bohaterki. Liczę na intencjonalność tego chwytu tym bardziej, im częściej przypominam sobie, że w fikcyjnej biografii Tiny miała się mieścić kariera aurora, czyli łowcy czarnoksiężników – co w przypadku Tiny, odznaczającej się charyzmą co najwyżej łowcy okazji na targu rybnym, było na razie w najwyższym stopniu nieprzekonujące. Oczywiście nie oznacza to, że postać grana przez Waterston nie budzi sympatii – po prostu nie mogę się oprzeć wrażeniu, że za bardzo przypominała ona klasyczną Hollywoodzką *damsel in distress*, aniżeli czarodzieja o pozycji piastowanej przecież przez tuzy pokroju Alastora Moody'ego czy Kingsleya Shacklebolta.

*Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć* jest filmem, który musi zobaczyć absolutnie każdy fan uniwersum *Harry'ego Pottera* – i który powinien zobaczyć każdy, kto kiedykolwiek wiązał je znanadto ze światem infantylnych wyobrażeń o sprawujących rząd dusz nastolatkach, aniżeli ze światem fantasy mogącym się spokojnie mierzyć pod względem dyskursywnego zaangażowania i filozoficznej przenikliwości z *Mrocznymi materiami* Pullmana. Zdecydowanie polecam – i biegnę obejrzeć rzecz po raz drugi.